

„... ja to wszystko przetrzymałem”

– relacja Stanisława Bogdanowicza

Jest takie miejsce na tej ziemi, pełne ptaków i szumiące łany. Nic już z tego nie zostało i nic się nie zmieni. Nie istnieje mój zaścianek, mój dom ukochany”. Tymi słowami Stanisław Bogdanowicz rozpoczyna swoją relację, która znajduje się w Archiwum Historii Mówionej Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej. Archiwum, prowadzone przez Sekcję Notacji i Opracowań Multimedialnych, działa od 2006 roku. Zawiera kilka tysięcy godzin nagrań świadków historii – wywiadów z osobami uczestniczącymi w wydarzeniach, które rozegrały się w latach 1939–1989. Kolekcja ta powstaje podczas realizacji różnorodnych projektów tematycznych. Poniższym artykułem inaugurujemy cykl „Pamiętam jak dziś...”, w którym zaprezentujemy fragmenty relacji znajdujących się w Archiwum Historii Mówionej.

Na początku 1945 roku, zgodnie z rozporządzeniem władz sowieckich, Stanisław Bogdanowicz postanowił się ujawnić. Został jednak aresztowany i pomimo młodego wieku (w 1945 roku miał dopiero 16 lat) wcielony do wojska. Trafił do zapasowego pułku piechoty, na terenie byłego KL Lublin, skąd wraz z dwoma kolegami udało mu się uciec. Wkrótce dołączyli do oddziału partyzanckiego, działającego w okolicy Chełma Lubelskiego, dowodzonego przez mjr. Konstantego Piotrowskiego „Zagłobę” z 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Stanisław Bogdanowicz złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Skrzypek”. Oddział działał na terenie

województwa lubelskiego do lata 1945 roku, kiedy to przyszedł rozkaz o rozformowaniu i ujawnieniu się. Oficjalne dokumenty poświadczające dobrowolne złożenie broni partyzanci otrzymali w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa w Chełmie Lubelskim. Większość kolegów Bogdanowicza wróciła do domów, on jednak postanowił pozostać w konspiracji.

Żołnierz Niezłomny

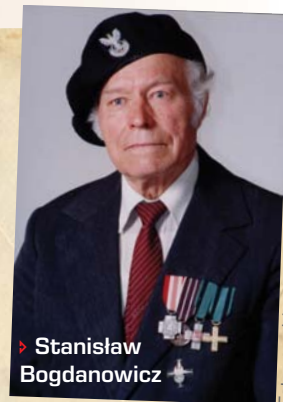
W grudniu 1945 roku, kiedy przebywałem na kwaterze już po złożeniu broni, po ujawnieniu się, wtargnęli do mieszkania funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. W tym czasie oni, jak się później dowiedziałem, jechali gdzieś na akcję w terenie, ale po drodze, to już nie wiem, jak dotarła do nich informacja, że tam jesteśmy. Ruszyli i zostaliśmy aresztowani. Prowadzili mnie po bezdrożach, na przełaj. Śnieg był dosyć głęboki, a ja miałem na stopach tylko trzewiki.

Już pierwszego dnia po aresztowaniu Stanisław Bogdanowicz został poddany brutalnemu śledztwu w siedzibie UB.

„Wiemy wszystko... jeśli sam złożysz zeznanie, to jeszcze może uratujesz głowę”. I tak przez całą noc trwało przesłuchanie, łącznie z biciem. A bicie było okropne. [...] Po jakimś czasie już nie mogłem stać o własnych siłach. [...] [Rankiem] zostałem wyprowadzony za jakiś budynek, przed sobą widzę głęboki dół. Za sobą słyszę repetowanie broni. Chciałem się przeżegnać, ale ręce miałem skrupowane za plecami.

Bogdanowicz nie został jednak rozstrzelany. Po chwili usłyszał, jak jeden

Stanisław Bogdanowicz urodził się w 1928 roku w Piłowojciach (ówczesne woj. wileńskie). Od 1942 roku współpracował z Armią Krajową. Ujawnił się na początku 1945 roku, po czym został przymusowo wcielony do „ludowego” wojska. Po ucieczce z IWP wstąpił do oddziału partyzanckiego mjr. Konstantego Piotrowskiego „Zagłoby”. Latem 1945 roku grupa została rozformowana. W grudniu 1945 został aresztowany i skazany na 5 lat więzienia, które opuścił w 1948 roku na mocy amnestii. W okresie nasilenia represji ze strony władz został ponownie aresztowany, poddany brutalnemu śledztwu i skazany na 10 lat więzienia. Karę odbył w więzieniu w Koronowie i w Obozie Pracy Więźniów w Piechcinie. Zwolniony w okresie odwilży podjął pracę w Starym Polu, gdzie poznał swoją przyszłą żonę Stanisławę. Wraz z nią przeniósł się do Starego Targu, a później do Ryjewa, gdzie mieszka do dziś. Stanisław Bogdanowicz działa w Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Został odznaczony m.in. Medalem Wojska, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem „Burza” AK i Krzyżem Partyzanckim.



Fot. z archiwum rodzinnego

z funkcjonariuszy UB nakazał wstrzymanie egzekucji i powrót do Chełma Lubelskiego.

Po drodze, to było przecież dosyć daleko, śnieg w moich butach się roztopił i zanim dojechalismy do Chełma, zamienił się w lód, który odłupywał się wraz ze skórą. Poprosiłem strażnika o jakiś opatrunek na krwawiące stopy. Ten jednak odpowiedział: „Żadnego opatrunku! Jeśli wda się gangrena, najwyżej amputujemy. Nie ma problemu”.

W Chełmie Bogdanowicza osadzono w przepełnionym do granic możliwości areszcie tymczasowym. Rozpoczęły się nocne przesłuchania połączone z biciem. W dzień strażnicy znęcali się nad więźniami w wymyślny sposób.

Zapamiętałem takie sceny, to byli ludzie [strażnicy] bez sumienia, robili sobie takie zabawy. Do celi wpadała zgraja i kazali Ukraińcom więzionym z nami śpiewać ukraińskie pieśni. Oni byli bardzo przestraszeni, kulili się po kątach, bo

wiedzieli, co ich czeka. I w końcu śpiewali, bo jak nie, to bito ich kijami. [...] Innym razem kazali jednemu Ukraińcowi i jednemu z akowców bić się. Oni improwizowali, bo nie chcieli się bić. Wtedy jeden ze strażników zaczął krzyczeć: „Ja was nauczę, jak się bić!” Jednego i drugiego skatowali kijami. Śmiali się z tego bardzo, robili sobie żarty. [...] Cele były okropnie przepełnione. Spaliliśmy na podłodze, łóżek czy prycz żadnych nie było. W nocy, jak się wstało, to już nie można było wrócić na miejsce, po prostu nie było miejsca. Wyżywienie było okropne, wszyscy byli głodni. Jak postawili nam kocioł z zupą, to w nim była tylko woda i parę kartofli. Czasem część więźniów w ogóle nie dostawała posiłku, bo w połowie kolejki zabierali kocioł.

W styczniu 1946 roku Stanisław Bogdanowicz wraz ze współwięźniami został przewieziony do więzienia w Zamku lubelskim („Umieścili nas w baszcie zamkowej. Strasznie zimno, okna bez szyb, a to przecież była zima”), a następnie odesłano ich do Sieradza:

W drodze do samochodu, którym odwozili nas na stację kolejową, ustawiła się kolumna ubowców i okładali nas kijami. Każdy biegł ile sił i chował głowę w kołnierz. Przed wyjazdem dostaliśmy jeszcze mały bochenek chleba i łyżkę brązowego cukru. [...] Wagony przepełnione, nie można było usiąść. Byliśmy już tak zmęczeni, że chcieliśmy trafić nawet do najgorszego więzienia, ale żeby można było wreszcie odpocząć, usiąść. Cały czas byliśmy bez posiłku, bez wody, wycieńczeni do ostatka. [...] duża część kolegów tej podróży nie wytrzymała. Ja o dziwo jeszcze trzymałem się na nogach. [...] Kiedy zobaczył nas naczelnik więzienia w Sieradzu, zwrócił się do konwojentów: co wyście z tymi ludźmi zrobili?! Coście z nimi zrobili?! Pomimo że byliśmy w więzieniu, czuliśmy się, jakbyśmy trafili do innego świata. Strażnicy na nas nie krzyczeli, nie obrzucali nas wyzwiskami. Zmarłych ułożyli w jednym miejscu, podliczyli. Stan zgadzał się. Konwojenci z Lublina byli zadowoleni, stan się zgadzał i to dla nich było najważniejsze.

Stanisław Bogdanowicz otrzymał wyrok pięciu lat pozbawienia wolności za nielegalne posiadanie broni, jednak po odbyciu połowy kary został zwolniony w lipcu 1948 roku na mocy amnestii. Udało mu się zdobyć adres jednego z przyjaciół z czasów konspiracji – Czesława Kunieja „Brzozy”, który mieszkał w Starym Polu koło Malborka. Wraz z nim podjął pracę w tamtejszych Państwowych Nieruchomościach Ziemskich. W tym samym roku dostał powołanie do odbycia służby wojskowej. W pułku artylerii lekkiej w Kołobrzegu odsłużył blisko trzy lata. Komunistyczne władze przypominały sobie jednak o jego partyzanckiej przeszłości, nastąpiło powtórne aresztowanie. Tym razem miał do czynienia z oficerami Informacji Wojskowej w Koszalinie, którzy chcieli wymusić na nim podpisanie zeznań o przynależności do organizacji konspiracyjnej. Oficer prowadzący przesłuchanie próbował go zastraszyć: „Tu, na tym krześle, na którym siedzisz, siedział Mossor, siedział Tatar. Wszystko powiedzieli. I ty też powiesz!”. Po tygodniu bezowocnych przesłuchań Bogdanowicza przekazano funkcjonariuszom Informacji Wojskowej w Bydgoszczy. Jak wspomina, był to okres brutalnego dziewięćmiesięcznego śledztwa.

Oficerami Informacji byli głównie Rosjanie. Jeden z nich powiedział mi: „Pozналиśmy, że jesteś wrogiem, który nie żałuje za swoje czyny. Takich jak ty tutaj nie potrzebujemy. Widzisz ten ogródek

za oknem? Tak ciebie tam schowamy, że nikt cię już nie znajdzie”. [W czasie przesłuchań] bicia nie było. To był typowy dla NKWD sposób prowadzenia śledztwa: człowieka wymęczyli do tego stopnia, że [...] w końcu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Zabrali nam mundury, ubrali tylko w drelichy, człowiek cały trząsł się z zimna. Wieczorem zawsze brali na przesłuchanie, które trwało przez całą noc. Pozycja miała być obowiązkowo przestrzegana, nogi ustawione pod kątem prostym, ręce złożone na kolanach. Stołek do siedzenia był taki jak mały talerzyk i na tym się siedziało kilka godzin. Spadam z krzesła. Podskoczyli do mnie, oblali głowę zimną wodą, przywrócili do przytomności. I bez przerwy musisz mówić, bez przerwy. Nawet on [śledczy] nie za bardzo słuchał później. Tylko chodziło o wymęczenie. Życiorys, dokładny życiorys. Skończyłem życiorys, wszystkie znajomości, adresy. Skończyłem adresy, coś się w życiorysie nie zgadzało, od nowa życiorys. To był system, który człowieka wykańczał. Reflektor, silna żarówka prosto w oczy. Początkowo myślę sobie: a niech tam świeci. Ale później czułem, że to strasznie przeszkadza, strasznie męczy. Jak już tak wymęczyli człowieka, to przystąpili do głównej sprawy, do pytań o udział w organizacji partyzanckiej.

Niekiedy stosowano tzw. konwejer – przesłuchania odbywały się dzień i noc, przez kilka dni bez odpoczynku. Przesłuchujący używali też innych metod, aby sprowokować przesłuchiwanego.

Śledczy miał pistolet, bawił się nim, załadował go i położył na biurku. Wreszcie wstał: „Siedź spokojnie” – mówi i wychodzi. Wcześniej otworzył okno. A okno wychodziło akurat na ulicę. „I co teraz? – mówię do siebie w duchu. – Podskoczyć do biurka, złapać pistolet i uciekać”. Myślę sobie: „O nie, to nie dla mnie. Tam już pewnie na dole czekają”.

[...] Dali [mi] do przeczytania protokoły zeznań kolegów. Nie wszystkie były tak jak należy, ugięły mi się kolana. Podchodzi do mnie taki, który prawie cały czas mnie przesłuchiwał,



Fot. z archiwum rodzinnego

➤ Stanisław Bogdanowicz (z prawej) w mundurze IWP, 1950 rok

i mówi: „No, widzicie, koledzy przyznali się, powiedzieli prawdę. Wiemy wszystko, kłamałeś cały czas. Masz jeszcze szansę uratować głowę, ale musisz powiedzieć to, o co będziemy pytali. Podpiszesz to i jeszcze więcej. Powiesz jeszcze więcej!”, „Niczego nie będę podpisywał, to jest nieprawda”. [...] Wstaje taki drab, widziałem go pierwszy raz, podchodzi do mnie. Pochylił się nade mną i mówi: „Pożyjesz już niedługo. Tu, w tym miejscu podpisałeś na siebie wyrok. Już na wolność nie wyjdiesz. Wyprowadzić!”. [...] Pomyślałem sobie: „No, to już teraz rzeczywiście sprawa wygląda tak, jak powiedział”. Wtedy poczułem już blisko śmierć, a nie chciałem jeszcze wtedy umierać.

Po kilku dniach odbyła się rozprawa przed wojskowym sądem w Bydgoszczy. Zasiedliśmy na ławie oskarżonych, sąd w pełnym składzie, prokurator. Mieliśmy dwóch adwokatów z urzędu. Próbowali nas bronić, ale sąd nawet tego nie słuchał. Wdzieliśmy, że dla nich nie ma to znaczenia. Prokurator zażądał dla oskarżonych w procesie kary śmierci, twierdząc, że „ten element nie może zajmować miejsca w społeczeństwie”. Bogdanowicz otrzymał najwyższy wyrok spośród sądzonych – dziesięć lat pozbawienia wolności za „przynależność do nielegalnej organizacji mającej na celu obalenie ustroju”. W sentencji wyroku zaznaczono, że nie przysługuje żadna forma ulaskawienia.

Więzenie w Koronowie

Po zakończeniu śledztwa i procesu Stanisław Bogdanowicz został przeniesiony do więzienia w Koronowie. Był to wówczas jeden z cięższych ośrodków karnych na terenie Polski.

Tuż pod moją celą była piwnica. Wieczorem, w nocy dochodziły do mnie krzyki katowanych więźniów. [...] Wyżywienie było straszne. Na śniadanie była kawa zbożowa i tzw. pajdka – kromka chleba. Na obiad zwykle była zupa-kasza. Z tym że tej kaszy to tam trudno było się dopatrzyć. To była taka mętna woda. Po tym człowiek czuł się jeszcze bardziej głodny niż przed obiadem. Na kolację też wię-



Fot. z archiwum rodzinnego

cej nic nie było, jak nawet nie pajdka, tylko taka kromeczka chleba i herbata. Tak, że człowiek był zawsze głodny. [...] Okna osłonięte tzw. blendami, że tylko skrawek nieba było widać.

Powszechna była wszawica. Strażnicy wielokrotnie próbowali zwerbować Bogdanowicza do współpracy polegającej na donoszeniu na współwięźniów. Nie dał się jednak do niej wciągnąć, nawet za obietnicę dokładki zupy.

Obóz Pracy Więźniów

Bogdanowicz został skierowany do Obozu Pracy Więźniów w Piechcinie – do kamieniołomu usytuowanego w Wapiennie, 8 km od obozu. Skojarzył mu się on z obozem koncentracyjnym:

Otoczony podwójnie drutem kolczastym, wieżyczki, a na nich karabiny maszynowe. Do ogrodzenia nie wolno było podchodzić, bo strzelano. Kilka metrów od ogrodzenia, wzdłuż drutów był przeorany pas ziemi, żeby było widać ślady. Po wieczornym apelu nie wolno było otwierać okien, nie można było przez nie wyglądać, bo strzelali.

Praca była wyczerpująca, dzienne normy wydobywania bardzo wysokie, a wszystkie prace wykonywano ręcznie. „Bumelantów” niewyrabiających normy zamykano w karcercze.

To była taka podziemna duża cela. Nie było tam żadnego przykrycia, tylko drewniane prycze. I tak spędzało się noc, a rano do pracy.

W kamieniołomie pracowano po dwa-nastu godzin na dobę, niezależnie od pogody.

Praca cały czas na otwartym powietrzu. Deszcze. Deszcze ze śniegiem. Sam śnieg, mrozy. Mieliśmy ubranie przemoczone całkowicie. Osiem kilometrów w zimnym, mroźnym powietrzu do obozu. Zanim wróciliśmy, ubrania na nas były sztywne, przemarznęte. Te ubrania przed udaniem się na spoczynek były zawieszane na krawędziach łóżek. Baraki nieopalone.

➤ Świadectwo zwolnienia Stanisława Bogdanowicza z obozu pracy, 1955 rok

Rano, jak wstawialiśmy, z tych ubrań to była kałuża wody. Sztywne i zimne, ubieraliśmy się w to i po śniadaniu na łom. I na łomie znowu ta sama historia. Każdego dnia z obozu pracy karetka zabierała chorych więźniów. Na ich miejsce przychodził „nowy transport i nowi ludzie. Także materiału do pracy w kamieniołomach w PRL nie brakowało”.

Więzienia były przepełnione. Także z tym władze więzienne i władze tych obozów nie mieli żadnego problemu. Człowiek tam był nie człowiekiem, tylko maszyną, którą można do pewnego czasu wykorzystać.

Nowe życie

Przełom nastąpił w 1955 roku, w okresie odwilży po śmierci Stalina. Jak mówi Bogdanowicz, było to wielkie zaskoczenie, nic nie wskazywało na złagodzenie wymiaru jego kary. Pewnego dnia, jak zwykle po pracy, wyczytywano nazwiska więźniów, którzy zostają zwolnieni.

Wyczytuje. I padło nazwisko moje – Bogdanowicz Stanisław. Nie wychodźcie jutro do pracy. Pode mną ugięły się kolana. Nie wierzyłem, po prostu nie wierzyłem.

Stanisław Bogdanowicz rozpoczął nowe życie dzięki pomocy dawnego przyjaciela Czesława Kunieja. Został przyjęty do pracy w gminnej spółdzielni w Starym Polu w charakterze księgowego i inwentaryzatora. Poznał tam swoją przyszłą żonę.

Po prostu nie mogę wytłumaczyć sobie, jak to się stało, że ja te nieludzkie warunki przetrzymałem, nie zachorowałem. Po prostu niemożliwe, ale tak było. Dzisiaj myślę, bez przesady, myślę, że to Opatrzność była ze mną. Ponieważ nie miałem żadnej pomocy, żadnych kontaktów z zewnątrz. I takie warunki. I ja to wszystko przetrzymałem. ■

opracował: Piotr Wiejak